

Wyborcza wojna hybrydowa

Nie wiemy dziś, kto i co kryje się pod nazwą „białoruska opozycja”

Nagle pojawienie się i równie nagle zniknięcie „liderki” białoruskiej opozycji Swiatłany Cichanouskiej tylko wzmocniło wątpliwości, które już wcześniej pojawiały się w odniesieniu do tak szybkiego i profesjonalnego wykreowania żony popularnego blogera na główną konkurentkę urzędującego od 1994 roku prezydenta Alaksandra Łukaszenki. Wątpliwości te pojawiały się również po stronie białoruskiej opozycji. Warto w tym kontekście wspomnieć pytania, które publicznie stawiał Alaksandr Milinkiewicz (swego czasu konkurujący z Łukaszenką o fotel prezydenta) o to, kto tak naprawdę kieruje sztabem wyborczym Cichanouskiej i czy ma ona w ogóle kompetencje – w razie hipotetycznego zwycięstwa w wyborach prezydenckich – do kierowania państwem (w tym sprawowania nadzoru nad resortami „siłowymi”).

„Operacja Cichanouska”?

Pojawiają się teorie mówiące o tym, że za nagłym wykreowaniem „niezłomnej kandydatki opozycji” stały rosyjskie służby, w tym „wojska cyfrowego bezpieczeństwa” Federacji Rosyjskiej, które, jak doskonale wiemy, nie tylko na Białorusi udowodniły swoje zdolności wpływania na przebieg kampanii wyborczej. Skoro można było w Stanach Zjednoczonych, to dlaczego nie w Mińsku?

Teoria „rosyjskiego śladu” ma mocny argument wskazujący na to, że mniej więcej od roku Łukaszenka publicznie deklarował, że „Białorus nie jest skazana na kupowanie węglowodorów [ropy i gazu] tylko od Rosji”. To było pokłosie twardych negocjacji między Mińskiem a Gazpromem [czytaj: Kremlem] odnośnie do stawek cenowych za dostawy tych strategicznych surowców. Jak wiadomo, Moskwa nie od dziś i nie tylko w stosunku do Białorusi stosuje politykę „szantażu gazowego”. Pomimo propagandowych sloganów o „bratnich narodach Rosji i Białorusi” z perspektywy Kremla liczą się twarde interesy, czyli trwałe podporządkowanie Białorusi. Władimir Putin deklaruje zresztą, że oczekuje dalszej „integracji” z Białorusią w ramach „wspólnego Państwa Związkowego”. Tak eufemistycznie rosyjski prezydent określa plan całkowitej inkorporacji naszego wschodniego sąsiada w granice Federacji Rosyjskiej.

Postraszenie Łukaszenki

To by zaś oznaczało koniec rządów Alaksandra Łukaszenki. Stąd wspomniane

słowa białoruskiego prezydenta o chęci uniezależnienia się od rosyjskich dostaw surowcowych. Szczególny niepokój „bratniej Rosji” musiał wzbudzić fakt, że za tymi słowami poszły pewne znaczące gesty. Tak bowiem należy odczytać wizyty w Mińsku w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy ważnych przedstawicieli amerykańskiego rządu. W zeszłym roku rozmawiał z Łukaszenką ówczesny doradca prezydenta Donalda Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego (John Bolton), a w lutym tego roku do Mińska przyjechał szef amerykańskiej dyplomacji, sekretarz stanu Mike Pompeo. Jak podano w oficjalnym komunikacie – o co zadbały również białoruskie media rządowe – tematem tych lutowych rozmów była kwestia dostaw amerykańskiego gazu na Białorus przez Litwę i Polskę.

Nie wiemy, jakie są intelektualne korzenie „białoruskiej opozycji”, jak bardzo jest uzależniona od działających na Zachodzie środowisk promujących mocno zideologizowaną wersję „społeczeństwa otwartego”, jaki jest jej stosunek do Polski

Trzeba było więc białoruskiego prezydenta postraszyć perspektywą utraty władzy. Po ponad ćwierćwieczu rządów Łukaszenka na tyle skonsolidował swoją kontrolę nad własnym aparatem bezpieczeństwa, że wariant z „zielonymi ludzikami” na razie nie jest brany pod uwagę. Jak się już jednak rzekło, mechanizm hybrydowych „wojen wyborczych” rosyjskie służby mają bardzo dobrze opanowany. Cichanouska była doskonałą kandydatką – dzielna kobieta, zastępująca męża w potrzebie. Taka była „prawda ekranu” dla tysięcy Bia-



Protestujący Białorusini zarzucają władzom sfałszowanie wyników wyborów prezydenckich

łorusinów mających dość rządów Łukaszenki. Od początku jednak było wiadomo, że kobieta mająca męża w areszcie i zagrożona utratą dzieci (w razie jej aresztowania trafiłyby do sierocińca), jest kandydatką wyjątkowo podatną na naciski (z którejkolwiek strony). Jej zachowanie w pierwszych dniach po wyborach tylko to potwierdziło.

Co się kryje za fasadą?

Nie sposób nie odnieść wrażenia, że komentując to, co dzieje się na Białorusi – zarówno po stronie rządowej, jak i opozycyjnej – mamy do czynienia z czymś w rodzaju chińskiego teatru cieni. Widzimy fasadę, za którą ktoś pociąga za sznurki. Ani Łukaszenka nie jest krwawym dyktatorem, ani nie jest „szczerym demokratą”. Wątpliwe, czy zdobył aż 80 proc. głosów, podobnie jak wątpliwe jest, że z taką przewagą wybory wygrała „liderka” opozycji. Ludzie chcą zmian, czemu sprzyja pogarszająca się sytuacja gospodarcza w kraju. Nie wiemy jednak, kto i co kryje się dzisiaj pod nazwą „białoruska opozycja”. Jakie są jej intelektualne korzenie, jak bardzo jest sfragmentaryzowana, jak bardzo jest uzależniona (programowo i finansowo) od działających na Zachodzie środowisk promujących mocno zideologizowaną wersję „społeczeństwa otwartego”, jaki jest jej stosunek do Polski? I chyba pytanie najważniejsze: jak bardzo Alaksandr Łukaszenka kontroluje swój aparat władzy? Może dziwna tolerancja białoruskich władz dla opozycyjnych wieców Cichanouskiej (nie tylko w Mińsku) jest jakimś przejawem toczącej się już za kulisami „gry o tron” w Mińsku? Czy mamy już do czynienia z fazą „długiego gnicia” reżimu Łukaszenki?

Od odpowiedzi na te pytania zależy nasza polityka wobec Białorusi. W naszym żywotnym interesie jest to, aby polityczna stabilizacja u naszego wschodniego sąsiada była takiego rodzaju, który respektowałby podstawowe prawa niemal miliona Polaków na Białorusi (funkcjonowanie polskich insty-

tucji kulturalnych, obecność języka polskiego w szkołach, ruch transgraniczny). Z tym ściśle związana jest kwestia swobodnego działania na Białorusi Kościoła katolickiego.

Chiny spieszą z gratulacjami

Układając nasze relacje z Mińskiem, należy również uwzględnić kontekst międzynarodowy. Nieprzypadkowo pierwszym światowym przywódcą, który pospieszył z depeszą gratulacyjną dla Alaksandra Łukaszenki, był prezydent Chin, Xi Jinping. Równie znamienita była treść depezy, która podkreślała nadzieje chińskiego przywódcy na rozbudowę „strategicznej współpracy Chin i Białorusi”. Jak wiadomo, Pekin liczy na udział Mińska w inicjatywie „nowego jedwabnego szlaku”. Geograficzne położenie Białorusi sprawia, że jej udział w tym przedsięwzięciu jest kluczowy.

Chiny od lat rozszerzają swoje globalne wpływy, oferując pomoc gospodarczą w zamian za „zacieśnianie współpracy”. Skoro parę lat temu na taki deal poszła Grecja – państwo należące do UE i NATO – de facto oddając Chinom port w Pireusie, dlaczego nie mogą powtórzyć podobnego manewru władze w Mińsku? Przyczyna może być jedna: Rosja. Kreml nie życzy sobie na równi amerykańskiego gazu oraz wielkich chińskich inwestycji na Białorusi. Chyba że będą one uzgodnione w ramach „konstruktywnych rozmów” na linii Moskwa – Pekin. Nic jednak na to nie wskazuje, by Putin zamierzał dzielić się z kimkolwiek wpływami na „rosyjskiej bliskiej zagranicy”. Miała reakcja władz UE i najważniejszych państw unijnych (Niemcy, Francja) na wydarzenia na Białorusi po niedawnych wyborach prezydenckich wskazuje, że te „uwarunkowania” są doskonale znane w europejskich stolicach. ●



Prof. Grzegorz Kucharczyk